

Do piwnicy prowadzą drzwi w bocznej ścianie klatki schodowej. Ich skrzydło, przemalowane wiele razy w ciągu ostatnich trzech dekad, nie przylega do futryny. Jakby od tamtej strony ktoś stale ciągnął za klamkę. W szczelinie wyczuwa się prąd powietrza, w korytarzach na dole panuje wieczny przeciąg. Chłodny wietrzyk łaskocze moją dłoń, kiedy manewruję kluczem w zamku.

Drzwi otwierają się zapraszająco. Żarówka z korytarza chyłkiem zagląda na schody. Krótki trójkąt światła obejmuje kilka stopni, każdy kolejny – coraz węższą smugą. Schodzę, bo kontakt jest na dole.

Przełącznik cicho trzaska. Znowu wykręcili żarówkę. Drogę do następnego kontaktu znam na pamięć. Mijam poprzeczny korytarzyk. Panująca tam ciemność zbywa mnie milczeniem. Resztki światła docierające od wejścia pozwalają zobaczyć biały kształt na ścianie. Naciskam palcem, światła nie ma. Coś powstrzymuje mnie od cofnięcia ręki, pstrykam jeszcze kilka razy. Nic. Przeszuję z nogi na nogę. Latarka? Nie chce mi się wracać. Gdzieś dalej będzie żarówka.

Wyciągam ręce przed siebie, bo tu korytarz skręca dwa razy pod kątem prostym, tworząc uskok. Na krótkiej poprzecznej ścianie jest następny kontakt. Tak jak się spodziewałem, trafiam palcami na metalowe drzwi piwnicy sąsiada i skręcam w prawo. Postępuję parę kroków, ostatecznie tracąc z oczu szary zarys wejścia do labiryntu. Sunę dłońmi po nierówno ułożonych ceglach, aby wymacać kontakt. Przekręcam, jedyny skutek to metaliczny jęk zapadki. Wolę jednak iść dalej niż odwrócić się plecami do mroku. Skręcam ponownie, zresztą wzrok przyzwyczaja się do ciemności – widzę zarysy ścian i wyczuwam fakturę ceglanego muru, odnoszę wrażenie, jakbym patrzył na rysunek węglem na czarnym kartonie. A może tylko znam układ przejść na pamięć i z niej wywołuję odpowiednie obrazy.

Zbliżam się do mojej komórki, ale od następnego kontaktu dzielą mnie dwa zakręty. Czuję suche ciepło przewodów centralnego ogrzewania, biegnących w grubej gipsowej otulinie. Bełkotliwie przelewa się woda w rurach. Stłumiony szelest odchodów w pionie kanalizacyjnym. Jestem wewnątrz organizmu oplecionego przewodami, w których krążą cieczki. Kroczę dostojnie, stopy znajdują podłoże po omacku. Czerń za zakrętem jest gęstsza i chłodniejsza. Poprzez bezużyteczne gałki oczne przecieka do wewnątrz, wypełniając mnie jak eter. Teraz, kiedy jej poziom na zewnątrz i wewnątrz się wyrównał, widzę jeszcze lepiej, czarno na czarnym. Powietrze, ściany i moje myśli mają taką samą konsystencję. Opuszczam bezużyteczne ręce.

Ostatni zakręt. Pokonując go po omacku, zahaczam szarfą lęku o przeszkodę. Coś z tyłu – zawór na rurze, hak w ścianie – uchwyciło wąski jedwab strachu i dopiero ciągnąc na przekór, czuję, że oplata mnie śliska taśma. Sunie po całym ciele, wijąc się

bez oporów. Dotąd starałem się nie zwracać uwagi na jej obecność. Zanurzam rękę w cegłach – są jak wystygły popiół. Będę miał czarne ręce, kiedy stąd wyjdę. Chcę już. Grzebię w ścianie po omacku i odnajduję mrowiącą strużkę elektryczności. Przesuwając dłoń wzdłuż niej, docieram do kontaktu. Ręce bezskutecznie suną przez gładki budyń plastiku. Wytężam wzrok, żeby uczynić przełącznik namacalnym. Wszystko wokół wygląda jak fotograficzny negatyw. Obraz dzieli się na czarne draperie, które falują – tam, gdzie gęstnieją, nie widać nic, a tam, gdzie rzadną, pojawiają się strzępy obrazu. Czuję grudkę elektrycznej iskry przenikającej palce, ale nie potrafię zamknąć obwodu. Wyciągam ręce ze ściany i próbuję odgadnąć, czy coś widzę. Pomaga mi w tym ruch przy ścianie, na samym dole. Kot. Skupiam się na nim. Im bardziej to robię, tym pewniejszy jestem, że to coś nie jest kotem. Nie ma żadnych właściwości, oprócz ruchu w moją stronę. Obraz się zaostrza. Czernie oddzielają się od czerni, z czego korzystam, uciekając przed niepochwytym ruchem. Zrywam się w panice, zrywam się w panice, zrywam się w panice, ale odległy o kilka kroków najbliższy zakręt nadal pozostaje nieosiągalny. Prę ze wszystkich sił w jego stronę, w ułamkach sekundy pojmując, że to, co jest za mną, nigdy mnie nie dogoni, a ja mu nigdy nie ucieknę.

Powoli jak mleko w kawie pojawia się – nareszcie! – światło, kończąc i rozmywając koszmarną wizję. Jest gęstsze i cięższe niż ciemność, więc wyciska ją z korytarza, przywracając otoczeniu poprzedni wygląd. Odzyskuję zdolność ruchu. To, co wziętem za zwierzę, okazuje się laleczką w czarnym obszernym ubraniu ze sztruksu. Porzucona zabawka jest niemilosiernie utyłana w piwnicznym kurzu. Na głowie ma spiczasty kaptur z otworami na oczy. W miarę jak idę w stronę wyjścia, posuwa się za mną, jakby ciągnięta na niewidzialnej nici, brudząc się coraz bardziej. Żółtawe światło słabych żarówek ma konsystencję osocza krwi. Opalizuje i lekko się klei. Ta piwnica zawsze była zbyt ciepła i sucha. Przechowywane w niej ziemniaki zimną wypuszczały błyskawicznie metrowe kłęczka, bulwy znikają, przekształcając się w miliony rurek transportujących obumarłe życie. Ściany mają kolor kremowo-brązowej lamperii olejnej. Wszystkie rury, przewody elektryczne i telefoniczne kable zachowały barwę czerni, teraz skonkretyzowanej, smolistej i potyskliwej. Tak jak moje ręce. We wszystkich zakamarkach, szparach, odgałęzieniach rur tkwią byle jak wetknięte takie same laleczki jak moja. Nieruchome, tylko od czasu do czasu któraś z nich spada.

Wracam oświetlonym korytarzem, podeszwy szeleszczą na suchym betonie. Na ostatnim etapie, naprzeciwko schodów prowadzących na górę, znajduje się nieczynny piec. Ma ten sam kolor, cała piwnica powleczona jest olejnym lukrem; rury oplatające stalowy sześcian są – tak jak inne – smolistoczarne. Przy drzwiczkach paleniska jest najwięcej laleczek, cała sterta. Wdrapuję się na schody, moja towarzyszka pełnie za mną. Nagle stos przy piecu przenika jakiś dreszcz, poruszenie. Nie myśląc, chwytam swoją zabawkę i rzucam nią w pęczniejącą pryzmę na dole. Po głuchym trzaśnięciu piwnicznymi drzwiami chronię się w mieszkaniu.

Ledwo zdążyłem doprowadzić do porządku ręce, rozległ się dzwonek u drzwi. „Spodziewałem się” – myślę, wpuszczając policjanta do środka.

– Zadam parę pytań, gdzie mogę usiąść? – dzielnicowy rutynowo lustruje przedpokój.

– Herbaty? – pytam, wykonując jednocześnie szeroki gest zapraszający do zajęcia dowolnego krzesła.

– Chętnie – rozkłada papiery z teczki, ja zaś ginę w kuchni.

Uciszam czajnik z gwizdkiem pochopnie wznoszący raban. Leję wrzątek do kubków; wszystkie w naszym domu mają obtłuczone uszy, żeby nie słyszały niepotrzebnych rzeczy. Niosę tacę do pokoju i obsługuję funkcjonariusza. Przechyla raz i drugi cukiernicę z dozownikami i przystępuje do czynności.

– No i co tam u pana słychać? W porządku?

– Tak, panie aspiratorze, w całkowitym porządku.

– Hm, kurator był?

– Zgadza się, tydzień temu czy dwa. Pani była bardzo zadowolona.

Palce dzielnicowego wślizgują się między papiery i zaczynają buszować w nich, to pojawiając się gdzieś wśród kartek, to przemykając niewidocznie pod nimi. Na niezborne ruchy zaczyna się nakładać coraz wyraźniejszy rytm, a cała teczka szeleści i pulsuje.

– Ciasteczka?

Jedna z rąk z trudem wypłtuję się z teczki i zanurza w salaterce z markizami. Teraz w szklanym naczyniu lepiej widać palce sunące po jego ściankach. Na wierzchu tylko niespokojny ruch ciastek.

– Jak się układa z sąsiadami?

Dzielnicowy jest czujny. Jego słuch szeleści we wszystkich szafkach i kołysze się wyczekując tuż przy mojej twarzy, czeka na najlżejsze drgnięcie strun głosowych, aby zacząć łaskotać kąciki ust jak tłusta mucha.

– Doskonale. O układaniu się nie ma mowy. Ani o innych nieprzyzwoitych propozycjach. Nic ani nikt się nie kładzie na mojej dobrej opinii o sąsiadach ani na ich dobrej opinii o mnie.

Spojrzenia dzielnicowego wyciągają się na całą kuchnię, wypełniają ją bez określonego celu. Wypustki suną po blacie stołu, ześlizgują się po krzesłach na podłogę. Inne wyciągają się w górę, sunąc od głowy, wprawiają w lekkie kołysanie lampę, po suficie docierają do firanek. Tam się gromadzą, w białych splotach gęstnieją oczka, firanka nasiąka wzrokiem. Czuję to narastanie, to bujne plenie się za plecami. Namnożone, podniecone własną ekspansją spadną zaraz na mnie, zza pleców, z góry, z kuchennego okapu, na który tymczasem nadciągają włókna ze ścian i sufitu.

Odwracam się. Dzielnicowy jak piwniczny ziemniak pokrył się niezliczonymi kłęczkami, wyrastającymi z każdego miejsca, włoski, nitki, sznurki, arterie i przewody, niektóre grubości jelita, kłębią się wokół przypominającej ludzki kształt formy, sięgając do wszystkich kuchennych kątów, oplatając meble, poruszając drobniejsze przedmioty.

– No dobrze – z kształtu wydobywa się głos, piskliwy i przechodzący w skrzek, zmienny jak metamorfozy, którym ulega ciało dzielnicowego – a przy jakiej pracy dziś pana zastałem?

– Robię porządki w piwnicy – dopada mnie chwila namysłu. Tak wiele spraw trzeba uporządkować. Wiele.

Tam, gdzie był dzielnicowy, wszystko się burzy i fermentuje. Biaława piana, gęste, drobne pęcherzyki i galaretowate konwulsje pod ich warstwą. Wszechobecne frędzle i wypustki stają się wklęsłe, jakby przysychały do sprzętów i płaszczyzn, wnikają w nie jak grzybnia pleśni. Nie wyszedł. Wnętrze pełne jest organicznej obecności. Płytki PCV na podłodze, ścianki mebli z płyt wiórowych – wszystko skażone. Nawet na metalu śliski nalot. Cała kuchnia do umycia, wywietrzenia, wyczyszczenia do najdrobniejszego okruszka. Kuchenka. Zapalę gaz, płomień oczyści powietrze. Podchodzę i widzę na kurkach strzępki, budyniowate frędzelki, ciągnące się w zwolnionym tempie tak, że nie wiadomo – kapną czy skrzepną. Łapią mnie mdłości.

Wybiegam na klatkę. Lastrykowe posadzki i schody. Podeszwy chrzęszczą w wydzielającym się żwirze, trzymam mocno poręcz, stopom brak oparcia. Zsuwam się, strumyki drobnych kamyków uwolnionych z cementowej masy osuwają się wraz ze mną. Zapadam się po kostki, do kolan; jestem pod drzwiami. Klamka, zdążyłem ją chwycić i czuję jak teraz ona wyciąga mnie w górę. Nogawki są już wolne, ale nasypało się do butów, niemilosiernie kłuje. Cement piwnicznego podestu jest na szczęście twardy. Ze zdjętych butów z szelestem wypada ostro krawędzisty żwir. Szeleści monotonie, odłamki czarnego granitu rozpuszczają się jak kryształki cukru w czerni stojącej nieruchomą taflą u podnóża schodów. Wygarniam, trzęsę, przechylam, ale żwir wciąż się sypie. Czując przez skarpety cement, schodzę parę stopni w dół, aby przepłukać buty mrokiem. Pomaga, z tym, że teraz, po założeniu, są jakieś zimne i obce. Ciągnę sznurowadła; nie stawiają oporu, próbuję szarpnąć, aby zawiązać je ściśle, ale stają się tym bardziej wiotkie. Jeszcze dwa stopnie w dół. Czuję siłę wypychającą nogi w górę, łagodnie omywającą tydki oblepione tkaniną spodni. To podsuwa mi pomysł: niezgrabnie zsuwam się na plecach, nogami do przodu. Coś od spodu popycha uda, pośladki, plecy. Kładę się na nich, odchylając lekko głowę. Światło nie jest potrzebne do oddychania, to tylko nawyk. Niektórzy potrafią oddychać wyłącznie nocą i ja za chwilę opanuję tę sztukę. Strop korytarza znajduje się poniżej lustra mroku.

Odrywam rękę od tułowia, zatamując go jednocześnie w biodrach. Rękami do przodu i głową w dół zanurzam się w piwniczny korytarz. Światło zamknięte w mojej klatce piersiowej rzuca niktą poświatę. Patrzę na swój tułów, na balon złocistożółtego światła za ciemnymi liniami żeber. Chwieją się cienie poruszone prądem. Przy pierwszych ruchach nogami gubię buty. Pozwalam im opaść na podłogę, z której tymczasem uniósł się kożuch zanieczyszczeń. Strzępy pajęczyn, wypalone do połowy zapałki, grudki cementu i błota rozpoczynają nieważki taniec.

Robię energiczny ruch rękami i wypuszczając pojedyncze pęcherzyki światła, zaczynam płynąć. W głębi korytarza prąd przybiera na sile, dzieli się na chłodne włókna trące łaskotliwie o skórę. W miarę jak je zużywam, światło staje się rude, nasycy się czerwienią, przygasa. Patrzę na własne ręce, mającą w poświacie jak podczas pracy w ciemni. Za chwilę przestają je widzieć, a ostatnie iskry pojedynczo wymykają mi się

z ust. Bezsilnie opadam na podłogę, narasta szum i ucisk w uszach. Wiotczęją z całej siły zaciśnięte wargi, na końcu poddaję się i po tomocie serca zapada błoga cisza. Dryfuję. Jestem w miejscu, gdzie za pierwszym razem sądziłem, że spotkałem kota.

Moje ciało opada na piwniczną podłogę, dzięki czemu lżej mi się teraz poruszać. Słuch pozostał przy nim, bo niemożliwe, żeby było tak cicho. Wzrok pozostał, ale nie mogę nim kierować, patrzę w każdą stronę, jak latarnia morska świecąca we wszystkich kierunkach naraz i widzę z każdej strony, jakbym był widownią na stadionie patrzącą na boisko ze wszystkich miejsc naraz. Jestem cyrkulacją w gęstej nicości. Arterie i naczynia tworzą zarys sylwetki, sama krew, fosforyzująca, a przy tym głęboko czerwona, wytycza ich przebieg. Zwiwne twory, zarysy kończyn płyną w mroku, ulegając prądom, zaczynają się wlec w różne strony. Jedyne siłą woli mogę przywołać je do poprzedniego kształtu. Tylko siła skupienia, jak namiastka grawitacji, może je zmusić do wierności poprzedniej formie, powstrzymać chwilowo dyfuzję. Nie sposób jednak pamiętać o wszystkich fragmentach naraz. Rozpływam się.

Dlatego może odczuwam silnie wibracje, drgania, jakby gdzieś pracowała ciężka maszyna z potężnym silnikiem. Znowu mam wrażenie ruchu, którego źródła nie umiem rozpoznać. Coś zbliża się do mnie. Jest ciemne jak otaczająca ciemność i tak samo gęste. Wyróżnia je wyłączenie ruchu. Nieustępliwy ruch w moją stronę.

Ta nieustępliwość działa na mnie jak niespodziewany dotyk na morskie stworzenie. Kurczę się, powracam do pierwotnych kształtów. Od nacierającej masy wionie emocjami, wyczuwam impulsy. Jest w nich znajoma obcość, tak jak we własnym głosie, który od słuchuje się z magnetofonu. Odbieram je tak, jak odbiera się niskie dźwięki przeponą.

To ciemne sięga po mnie. Golemowym ruchem usiłuje uchwycić pajęczą siatkę naczyń, która obecnie zakreśla moje granice. Usiłuje zagarnąć mnie całego, to jak tonięcie w kleju do tapet. Natężam siły, kieruję wolną kończynę w jego stronę. Szukam, szukam słabego punktu. Głowy, gardła, kości gnykowej, gałek ocznych. Usiłuję, jak baron Münchhausen, wyciągnąć siebie z tężejącego kleju, jednocześnie próbuję unicestwić tamto. Z wysiłkiem, jakbym miał na sobie ubranie z otowiu, grzebię w tamtym ciemnym, na próżno szukając wrażliwego miejsca. Coraz silniejszy ucisk powoduje, że zamiera we mnie krążenie, czerwień przygasa, staje się popielata.

Ogarnia mnie siła, która każe zwierzęciu w potrzasku odgryźć uwięzioną nogę i uciec. Mimo iż wszystko we mnie zastyga, szarpnię to, co udało mi się uchwycić. Szarpnię i chociaż ruch jest spowolniony, wywołuje efekt. Z początku tylko nadrywam, ale potem ze wzrastającą łatwością oddzielam część od reszty. Wraz z tym, co chciało mnie pochłonąć, pochylam się w agonalnym upadku i wtedy, niczym świadomość po omdleniu, wraca poczucie kierunków. Pod dłońmi szorstki cement.

– Tutaj! – krzykowi towarzyszy huk drzwi o ścianę.

Tupot wielu nóg na schodach, ktoś zapala światło. Mrużę powieki z całej siły. Wciągam powietrze. Światło boli w płucach, powietrze oślepia. Jednak na wpół uduszony oddycham płytko, chwytając fragmenty obrazów. Kilkoro ludzi wokół mnie. Wysokie buty, czarne spodnie z kieszeniami na nogawkach. Coś do mnie mówią. Biały ptak w koronie

na czapce. Ręka wskazująca coś na podłodze. Patrzą gdzie indziej, na człowieka w błyszczącym hełmie i pomarańczowej kurtce. Jestem w piwnicznym przedsionku sąsiedniej klatki.

Pojawiają się nowi ludzie. Ubrani w jaskrawe ubrania z odblaskowymi taśmami na nogawkach i rękawach. Krzyczą do siebie. Gwałtownymi ruchami otwierają kanciaste kufrы, które ze sobą przynieśli. Podają sobie jakieś przyrzędy.

Ktoś próbuje mnie podnieść. Zastaniam twarz dłonią, przez palce widzę oczy młodego policjanta, szeroko otwarte, patrzące na mnie nieprzypadnie. Jego usta poruszają się, ale go nie słyszę. Potrząsa moim ramieniem, odwraca głowę, mówi do kogoś obok.

Odnajduję wzrokiem człowieka w hełmie, teraz jest odwrócony przodem do ściany. Widzę odblaskową naszywkę z dużymi literami „STRAŻ” na plecach. Zgięty w pół. Z ust wylatuje mu rzadka papka, ciągną się długie nitki śliny.

– Coś ty zrobił człowieku – wyrzuca z siebie między falami torsji – coś ty zrobił.

Co zrobiłem? Coś musiałem zrobić, coś koniecznego, ale teraz nie mogę sobie przypomnieć co. To dlatego, że się udało, że mam już tę trudność za sobą. Teraz czuję tylko ogromną ulgę, co było – stało się natychmiast nieważne. Na szczęście jest już po wszystkim. Po wszystkim.



Kazimierz Nurczyk, *Placząca Kasia*